Odrodzenie w upadku

Z Davidem Engelsem
rozmawia
Krzysztof Tyszka-Drozdowski

Krzysztof Tyszka-Drozdowski: *Spengler Society, którego jest Pan jednym z założycieli, przyznało swoją nagrodę Michelowi Houellebecqowi. Czemu właśnie jemu?*

David Engels: Ponieważ byliśmy zgodni, i to całkiem spontanicznie, że Houellebecq to nie tylko jeden z najbardziej znanych obecnie pisarzy, ale że jego analizy współczesności są najbliższe temu, co przewidywał Spengler. Naprawdę dobrze widać, że świat, który opisuje Michel Houellebecq, jest podobny do tego świata, który przepowiadał sto lat temu Oswald Spengler. To, co jest interesujące, to że łączy ich bardzo obiektywne, wręcz chłodne spojrzenie na świat, wyzute z naiwnych złudzeń, to, że chcą stworzyć zimny, pragmatyczny obraz tego, czym jest rzeczywistość. To łączy ich obu. Trzeba też dodać, że przemówienie, które wygłosił Houellebecq przy odebraniu tego wyróżnienia, wskazało również na różnice, jakie występują między pisarzem a Spenglerem. Uważam, że fakt, iż Houellebecq otrzymał tę nagrodę, zmusiło go do ustosunkowania się wobec myśli Spenglera, zmusiło do namysłu nad historią, nad Europą, nad przyszłością, nad problemami, których dotąd jeszcze nie wyraził w swoich powieściach, a które w tym przemówieniu, a także w ostatnich wywiadach, dają o sobie znać. Ta nagroda mogła spełnić rolę katalizatora tej refleksji.

Czy zgodziłby się Pan z tym jego zdaniem: Europa wybrała sobie szczególny rodzaj samobójstwa, polegający na unicestwieniu narodów, które ją tworzą?

To zdanie z przemówienia Houellebecqa po odebraniu nagrody. Mnie jako historykowi trudno odpowiedzieć na to pytanie. Jak Pan wie, jestem dość bliski myśli Spenglera, moja wizja dziejów opiera się na idei, że wielkie kultury przechodzą podobną ewolucję, iż historia antyku, historia świata chińskiego, historia świata indyjskiego albo muzułmańskiego są dość podobne, nawet jeżeli trochę się

rozeszły. Za każdym razem widać, że u kresu tego rozwoju pojęcie narodu – które istniało również w świecie starożytnym i chińskim – zaczyna się zacierać. Powiedzmy, że jest to proces w pewnej mierze naturalny. W antyku mamy na początku małe jedności polityczne, *polis*, niektóre regiony, potem powstają twory, które można by określić, z pewną dozą anachronizmu, mianem narodów: Związek Achajski, Związek Etolski, środkowa Italia, Etruria, Samnici i tak dalej. I widzimy, że wraz z narodzinami rzeczpospolitej rzymskiej i jej ekspansją, te różnice narodowe i etniczne zanikają. Kończy się to ustanowieniem imperium, które jest raczej wielonarodowe. Na tym etapie, na którym znalazła się Europa, tendencja zmierzająca w kierunku jedności politycznej, ale również i kulturowej, wydaje mi się nieuchronna. To musi się stać. Czy się tego chce czy nie, język angielski, tak jak kiedyś łacina, zapanuje w całej Europie i różnice między narodami będą, krok po kroku, zanikać ze względu na to wymaganie, aby współpracować ze sobą coraz ściślej na płaszczyźnie politycznej i gospodarczej. To się wydarzy, bez względu na to, czy to popieramy, czy nie. W moim odczuciu ta unifikacja pociągnie za sobą ogromne straty kulturowe, zważywszy, że tożsamości narodowe składają się na prawdziwe europejskie bogactwo. Podobnie rzymskie panowanie spowodowało straty kulturowe, ale wydaje mi się, że ten proces jest nieuchronny. Dzisiaj podmiotem tego procesu jest Unia Europejska, która może rozwijać się tylko poprzez osłabienie narodów, bez tego by jej nie było. Z jednej strony można tego żałować, szczególnie, że obecne osłabienie narodów nie przyniosło korzyści w postaci europejskiej tożsamości, czy w kształcie solidarnej obrony wspólnych wartości, które jednoczą nas jako Europejczyków. Skorzystała na nim ideologia globalistyczna, uniwersalistyczna ideologia politycznej poprawności, co stanowi fakt ujemny. Z drugiej jednak strony, to nieuniknione, i jeżeli pewnego dnia przyjdzie nam bronić kontynentu przez różnymi zagrożeniami, przed konkurencją ze strony Chin, czy ze strony Indii, czy stawić czoło rozpadowi świata muzułmańskiego, to jako europejskie narody będziemy musieli zewrzeć szyki, aby przetrwać. Tak, zgadzam się częściowo z Michelem Houellebecqiem. Tylko nie postrzegam tego zjawiska jako procesu, który ma sprawcę, ma swojego winnego, lecz raczej jako dynamikę, przed którą nie ma ratunku, i której podmiotem jest Unia. A gdyby Unii nie było, kto inny przejąłby tę rolę.

Czy Europa straciła już szanse, aby nawiązać do swojej dawnej chwały? Czy stała się ona społeczeństwem, które, cytuję Pana, „nie potrafiąc się bronić, powoli dobiega do swojego kresu"?

Sądzę w każdym radzie, że Europa ma już za sobą swoją fazę rzeczywiście twórczą. Jej dobre dni już minęły. Te dobre dni, z punktu widzenia kultury, to epoka renesansu, baroku i tak dalej, jej dni chwały politycznej, to XIX i w pewnej mierze XX wiek, okres kolonialnej ekspansji. Uważam, że Europa nigdy już nie będzie w stanie odtworzyć w sobie tej witalności, ani na gruncie politycznym, ani na polu kultury. Jej zasoby witalne w tych obszarach zostały już niemal całkiem

wyczerpane, jak było to w przypadku świata antycznego w pierwszym wieku przed naszą erą, tak jak to było z klasycznymi Chinami w trzecim wieku przed naszą erą, tak jak to było z Iranem w szóstym wieku naszej ery, tak jak było ze światem muzułmańskim w dziesiątym, jedenastym wieku naszej ery. W mojej ocenie mamy do czynienia ze zjawiskiem wycieńczenia kulturowego. Najważniejsze pytanie polega na tym: czy mamy jakąś szansę, aby stworzyć taką sytuację, w której będziemy mogli bronić tego, co nam zostało? A więc czy będziemy mieli okazję dokonać tego, czego dokonali Rzymianie, Chińczycy, czy muzułmanie, to jest, czy uda nam się stworzyć pewnego rodzaju imperium, które ogarnie swoim zasięgiem całą naszą cywilizację, które będzie osłoną dla obywateli i dla wszystkiego, co w nas jeszcze twórcze, wszystkiego, co nam zostało z naszego dziedzictwa? Czy może ulegniemy bez walki wielkim zewnętrznym i wewnętrznym wyzwaniom? Mówiąc „zewnętrzne", mam na myśli inne imperia, które prawdopodobnie wyłonią się na globie, a mówiąc „wewnętrzne", mam na oku ryzyko islamizacji. Prawdziwe pytanie brzmi, czy będziemy w stanie zbudować coś na wzór imperium Augusta, a więc wejść w etap nazwijmy to „defensywny", imperialny i nostalgiczny, patrzący wstecz jak rzymskie cesarstwo, które nie miało w sobie już siły na dalsze podboje, lecz potrafiło utrzymać ład wewnętrzny i stabilność kulturową, czy też runiemy. Oto wybór, przed jakim stoją Europejczycy. Albo wojny domowe i islamizacja, albo utrzymamy się lepiej lub gorzej na powierzchni.

Trzydziestu pisarzy, między innymi Elfriede Jelinek, Milan Kundera, Salman Rushdie, Roberto Saviano, a także Polacy jak Adam Zagajewski czy Adam Michnik, podpisało się pod manifestem Bernarda-Henri Lévy „w imię patriotyzmu europejskiego". W ich mniemaniu Europa znalazła się w niebezpieczeństwie, populiści grożą jej zniszczeniem. Mógłby Pan wytłumaczyć, na czym polega prawdziwy europejski patriotyzm?

Jak to często bywa, pomieszano tu wiele rzeczy. Sam na pewno nazwałbym się mianem europejskiego patrioty, lecz zajmuję stanowisko całkowicie przeciwne wobec tego, czego bronią ci pisarze. Dla mnie patriotyzm europejski nie polega na obronie wartości humanistycznych, uniwersalnych, globalistycznych, które znajdują się zarówno w Traktacie Lizbońskim, jak i w Deklaracji Praw Człowieka. Te prawa są, rzecz jasna, bardzo ważne, to prawa fundamentalne. Według mnie jednak najistotniejsze w tożsamości europejskiej jest jej historia, to jej należy bronić. Ja, w przeciwieństwo do wymienionych myślicieli, nie postrzegam europejskich dziejów jako jakiejś drabiny Wittgensteina, którą można odtrącić, gdy już wspięliśmy się na szczyt. Należy bronić właśnie tej drabiny jako takiej. Trzeba starać się ocalić nie tylko to, co na szczycie, lecz również pamięć o tym, co pozwoliło nam tam dotrzeć. Określiłbym się więc mianem europejskiego patrioty, ale nie w znaczeniu idealizacji tego, co aktualnie dzieje się w Unii Europejskiej, bo Unia stała się, tego się obawiam, najgorszym wrogiem, jakiego kiedykolwiek miała Europa. Jestem patriotą europejskim w tym sensie, że popieram ideę zjednoczenia Europy,

która szanowałoby historię kontynentu, jego różnorodność wewnętrzną i jego narody. A więc to coś całkiem innego. W ich oczach prawdziwe niebezpieczeństwo to populiści, zaś globalizacja stanowi szansę ocalenia. Natomiast dla mnie na odwrót: prawdziwe zagrożenie to idee globalistyczne i uniwersalistyczne, które grożą rozpadem kulturowym i ideologicznym – a także materialnym – Europy. Przeciwnie, to w powrocie do źródeł, w próbie odzyskania naszego dziedzictwa religijnego, moralnego, kulturowego, politycznego, ekonomicznego, upatruję ostatniej szansy.

Czy Pana zdaniem rewolucja populistyczna może odmienić albo przeobrazić tożsamość Unii Europejskiej?

To kluczowe pytanie. Historia odpowie na nie w ciągu najbliższych lat. Trzeba jednak bardzo uważać, gdy używa się słowa „populista". Ja posługuję się nim, tak jak zresztą i Pan, całkowicie neutralnie, bez ujemnych skojarzeń, przynajmniej jeśli odnosi się to wobec większość partii, które są tym mianem określane. Mamy jednak do czynienia, to jasne, z dwoma nurtami współczesnego populizmu. Walkę między tymi dwoma nurtami widać na raz we Francji, w Niemczech, we Włoszech, a także w Polsce i w krajach Grupy Wyszehradzkiej, nawet jeśli tam wygląda to trochę inaczej. Dwa nurty, z którego jeden jest niebezpieczny, bo chce zasklepienia się w państwie narodowym. Szczególnie w niemieckim AfD występują siły, które są ekstremistyczne, a nawet rasistowskie, rewanżystowskie, które uważają, iż należałoby odzyskać terytoria, które należą dziś do Polski. Są tam ludzie, którzy sądzą, że Niemcy ocalą Europę. Istnieje więc w populizmie frakcja, skrzydło, jak na przykład we francuskim Zjednoczeniu Narodowym, która nadal jest antysemicka, partykularystyczna, antyeuropejska. Jeżeli ten nurt weźmie górę, to będzie oznaczało to koniec UE, lecz również zaprzepaszczenie ostatniej szansy przetrwania dla Europy. Ale mamy też drugi nurt, który stanowi w mojej ocenie większość, odwołujący się do pojęcia „europejskiego patriotyzmu". To ludzie, którzy są naraz dumni ze swojej tożsamości narodowej i widzą w niej coś bardzo ważnego, ważna jest dla nich duma z własnej historii i tak dalej, lecz dostrzegają oni również to, że oprócz tych partykularyzmów istnieje też tożsamość europejska, której należy bronić. Ta tożsamość to przede wszystkim chrześcijaństwo, tradycja chrześcijańska, która wiąże nas wszystkich od Hiszpanii po Polskę. Wystarczy wybrać się do muzeum, do kościoła i spojrzeć na ołtarze, aby zrozumieć, że od setek lat żyjemy w jednym, wspólnym świecie. To skrzydło populistów, które należałoby nazwać mianem prawdziwych europejskich patriotów, są to ci, którzy prawdopodobnie rzeczywiście pojęli, jak wysokie są dzisiaj stawki. I tylko oni dają jedyną naprawdę właściwą odpowiedź, czyli bronią naszych wartości, i dążą, i tutaj dotykam też trochę mojej działalności w Polsce, do nawiązania kontaktów z innymi, którzy usiłują stworzyć pewnego rodzaju międzynarodowy sojusz konserwatywnych i umiarkowanych, proeuropejskich, lecz nie prounijnych, populistów. To może być ostatnia szansa dla naszego kontynentu. Zobaczymy przy najbliższych wyborach, jakie będą wyniki tych ugrupowań i przede wszystkim, czy

zdołają przyjąć wspólną europejską linię, która pozwoli mówić jednym głosem i przezwyciężyć różnice między poszczególnymi narodami, aby walczyć o zachowanie europejskiej i chrześcijańskiej tożsamości.

*W **Le Déclin** przeprowadza Pan analogię między okresem upadku rzymskiej rzeczpospolitej a obecnym kryzysem Unii Europejskiej. Czy ówcześni Rzymianie byli równie nieufni wobec swoich elit, co współcześni Europejczycy?*

Tak, na pewno. To jeden z najistotniejszych aspektów tego kryzysu, który pogrąży republikę rzymską w I wieku naszej ery i który przyniósł to, co, jak mi się zdaje, wydarzy się i u nas, czyli epokę, jeżeli nie wojen domowych, to poważnych zaburzeń, które poprzedzają nadejście reżimu Augusta. W tamtym okresie rozziew między narodem a elitami nieustannie się powiększał. Dawny rzymski ideał, żywy jeszcze w czwartym, trzecim wieku, ideał *res publiki*, gdzie każdy wolny obywatel mógł uczestniczyć w rządach, ten ideał znikał coraz bardziej, a korzystała na tym sklerotyczna warstwa senatorów, tworząca zaporę, przez którą obywatel niewywodzący się z tej klasy nie mógł się przebić. Zresztą w drugim wieku przed naszą erą możemy wskazać najwyżej na pół tuzina takich przypadków, aby ktoś, kto nie pochodził z elity senatorskiej, doszedł aż do konsulatu. W dużym stopniu przypomina to tendencję, którą zauważamy dziś z prawdziwymi dynastiami politycznymi, jak Clintonowie albo Bushowie w Stanach Zjednoczonych, choć można znaleźć podobne przykłady w krajach europejskich. W Europie elity są zamknięte, jak choćby we Francji, gdzie wychowuje się je w ENA [École Nationale d'Administration]. Inna polityczna analogia dotyczyłaby głębokiej polaryzacji społecznej, która osiągała porównywalne rozmiary w świecie rzymskim i współcześnie. Klasa średnia zanika tak w pierwszym wieku, jak i w dniu dzisiejszym. Polska stanowi tutaj miejsce wyjątkowe na tle tego procesu, ale we Francji czy w Niemczech proces wielkiej społecznej erozji jest widoczny gołym okiem. Mamy tam do czynienia z niezwykłą sytuacją, ze skupieniem wszystkich zasobów politycznych i gospodarczych w rękach wąskiej grupy, podczas gdy społeczeństwa ubożeją – tak samo było w Rzymie – żyjąc chlebem i igrzyskami albo z zasiłków, nie są świadome swojego położenia. W dłuższej perspektywie, oczywiście, gdy ludzie nie mają nic do stracenia, i gdy radykalizują się politycznie, i my jesteśmy świadkami tego zjawiska, to prowadzi to do wojen domowych. Wydaje mi się, że zmierzamy w tę stronę.

Spengler napisał gdzieś, że to nie narody tworzą wielkie wydarzenia, lecz wielkie wydarzenia tworzą narody. Czy może Pan sobie wyobrazić takie wydarzenie, które wyłoniłoby europejski naród?

To, co mówi tu Spengler jest bardzo ważne. Trzeba jednak rozdzielić dwa rodzaje rozumienia narodu. Już u zarania średniowiecza zaczyna się długi proces rodzenia się narodów. Już od czasów traktatu w Verdun widać, że tworzą się

terytoria języków protofrancuskich, protoniemieckich, powoli pojawia się polski, angielski... Mamy do czynienia z procesem genezy narodów za pośrednictwem różnicowania się języków. Narody zaczynają istnieć, rozumieją się już na gruncie pewnej wspólnoty interesów i wspólnej kultury. Zresztą już na średniowiecznych uniwersytetach były kolegia, skupiające ludzi tej samej narodowości, a więc byli tam Niemcy czy Anglicy, którzy grupowali się w takich kolegiach. Pojęcie *natio* jest w tamtych czasach dość dobrze znane, choć nie znajduje ono tak wielkiego politycznego przełożenia. To chciał chyba powiedzieć Spengler, że wspólnoty narodowe i polityczne rodzą się dopiero wtedy, gdy wchodzą w historię, rodzą się dopiero wraz z zagrożeniem zewnętrznym, w wielkich kryzysach albo wraz z wielkimi postaciami. Niemcom potrzeba było doświadczenia wojen napoleońskich, aby narodziło się w nich poczucie niemieckiej tożsamości. Mamy tu więc aspekt polityczny i historyczny. Także dzisiaj integracja europejska oparta jest o wydarzenie tego pokroju, ale chodzi tu o wydarzenie negatywne, czyli o drugą wojnę światową. To druga wojna światowa uruchomiła proces jednoczenia się Europy. To ona określiła, czego już nie chcemy: nie chcemy wojen między Francuzami a Niemcami, nigdy więcej rasizmu, nigdy więcej totalitaryzmu i tak dalej. Nie ma jednak wątpliwości, że takie negatywne wydarzenie nie może stworzyć pozytywnej tożsamości. Pozytywną tożsamość tworzy się bohaterskimi czynami, pewnego rodzaju mitem założycielskim, pewnym wspólnym interesem, pewnym czynem, który stawia się za wzór, a nie jako coś, czego należy uniknąć. A więc mamy za sobą pierwszy etap budowy czegoś przypominającego europejską tożsamość, chociaż dokonał się on w pomieszaniu, bo znaczyła ona „nigdy więcej wojny", ale to, na co teraz czekamy, to pozytywne wydarzenie, które zjednoczy nas wszystkich. Można, oczywiście, spekulować, czym byłoby takie wydarzenie. W moim przekonaniu ono nastąpi, bo czyste odrzucenie militaryzmu, rasizmu i totalitaryzmu, które zaprząta nadal głowy naszych intelektualistów, jest anachroniczne, ponieważ żyjemy już w zupełnie innych czasach, a oni nadal działają i myślą w kategoriach walki z faszyzmem. To bardzo niebezpieczny atawizm, bo przesłania nam on otaczającą rzeczywistość. Trzeba się uwolnić od tego atawizmu, odłożyć go do świadomości historycznej, żeby przestał funkcjonować w naszej codzienności. To, czego nam trzeba, to pozytywnego wydarzenia. Czym mogłoby ono być? Pojawia się tu wiele możliwości. Jeżeli byśmy myśleli o tym w sposób klasyczny, to chodziłoby tu o opór, zwycięski, albo chociaż chwalebny, wobec zagrożenia z zewnątrz albo z wewnątrz. Jedna z możliwości: nacisk chiński stałby się tak wielki, że trzeba byłoby zdecydować się na akt ofensywny, co mogłoby Europę zjednoczyć, albo zjednoczyć ją bardziej niż jest obecnie zjednoczona. W moich oczach to na razie mało prawdopodobne, bo chińska ekspansja, choć rzeczywista, nie przyjmuje form agresywnych, nie przybiera form militarnych. Polega raczej na podbieraniu naszych zasobów ekonomicznych, na półkolonizacji wschodniej Afryki, która jednak nie poderwie z krzeseł, nie oderwie francuskiej młodzieży od gier komputerowych. To na razie

mało prawdopodobne. Nie wierzę również, aby najbliższy czas miał przynieść konflikt zbrojny między Ameryką a Chinami, bo ich interesy są na tę chwilę zbyt zbieżne, aby mogli do tego doprowadzić. Inna ewentualność to agresja ze strony Rosji, czyli aktywizacja NATO w celu wojny prewencyjnej przeciw Rosji, obrona przed Rosją. Również w tej kwestii należę do tych, którzy patrzą na to z rezerwą, i podzielam zdanie, że Putin, jeśli utrzyma się przy władzy, jest kimś na tyle roztropnym, iż nie pozwoli sobie na bezpośrednią konfrontację z NATO, które ma dziesięć razy większy potencjał militarny niż Rosja. Szczególnie, jeśli zważymy na to, że jego kraj przeżywa zapaść demograficzną i problemy wewnętrzne, związane także z sukcesją. Nie wierzę więc za bardzo w wojnę z Rosją. Jedyny czynnik zjednoczenia, jaki zostaje, to moim zdaniem walki wewnętrzne, wojna domowa, która, w moim odczuciu, zbliża się wielkimi krokami wszędzie w Europie zachodniej, na przedmieściach Paryża, Marsylii, Lyonu, Brukseli, Berlina, Londynu. To ryzyko, że kultura zachodnia stanie się kulturą mniejszości w swoje własnej ojczyźnie, to rosnąca wrogość między różnymi grupami etnicznymi. Uważam, że główną walką, głównym starciem, które zdominuje wszystkie inne, będzie starcie między mniejszością muzułmańską a całą resztą, albo, powiedzmy, między muzułmanami a częścią populacji, który chce być wierna swojej tożsamości. I tutaj można sobie wyobrazić, że ta walka, która będzie na pewno międzynarodowa, bo zagrożenie jest międzynarodowe, a zarówno muzułmanie, jak i identytaryści podróżują o wiele częściej po krajach Europy niż przeciętny człowiek, że ta walka nie odbędzie się w jednym mieście, lecz wybuchnie w całej Europie. Można sobie wyobrazić, że u kresu tej wojny domowej, do której trwają przygotowania, za jakieś dwadzieścia lat, różnice między europejskimi narodami staną się mniej ważne niż wola ocalenia i utrzymania zachodniej tożsamości. Ten opór wobec islamizacji może stać się nowym mitem założycielskim, może stać się nowym fundamentem Europy.

A więc zgadza się Pan z tezami francuskiego historyka, Henriego Pirenne'a, który twierdził, że Europa powstała dopiero w konfrontacji, w oporze wobec muzułmańskiej inwazji? Czy sądzi Pan, że Europa może się odtworzyć, ustanowić na nowo w konfrontacji z tą współczesną nam inwazją?

To całkiem prawdopodobne. Europa od zawsze definiowała się pozytywnie za pomocą chrześcijaństwa, a negatywnie w walce z islamem, który zagrażał jej ze wszystkich stron. Widać to już w cesarstwie karolińskim, otoczonym niemal z każdej strony przez muzułmanów. Tak, ta walka, a w każdym razie samookreślenie Zachodu w zderzeniu ze Wschodem, opozycja między Zachodem a muzułmańskim Wschodem, jest niezwykle ważna w dziejach Europy. Aż do XVII wieku wola odparcia muzułmańskiego niebezpieczeństwa stanowiła bardzo ważny czynnik w sojuszach, jakie zawierały ze sobą narody. Proszę pomyśleć o tureckich inwazjach, szczególnie o oblężeniu Wiednia, o polskiej odsieczy, dzięki której Wiedeń nie stał się miastem muzułmańskim. Przez wieki był to

bardzo ważny czynnik europejskiej tożsamości. Oczywiście, była też wymiana kulturowa, ekonomiczna, Europa skorzystała na arabskiej nauce, a świat islamu skorzystał na wymianach z Europą, więc zawsze występowały te dwa typy relacji, wojskowych i pokojowych, lecz nigdy nie doprowadziły one do stopienia się tych kultur. Zawsze samookreślały się one w opozycji jedna do drugiej. To, co jest wyjątkowe w naszym położeniu, to fakt, że dzisiaj europejska rekonkwista, która przechodzi niektórym przez głowę, musiałby się dokonać u nas, w naszych własnych miastach. Nie chodzi już o to, aby odepchnąć islam, albo odbić ziemie, które kiedyś były chrześcijańskie. W wielu miastach Europy chodzi o to, aby ustalić, jak ma się zachowywać kultura, która niegdyś była chrześcijańska, wobec dużej populacji muzułmańskiej. To coś niesłychanie trudnego, bo z jednej strony mowa o ryzyku wojny domowej, o rekonkwiście, ale z drugiej strony, i tu pewnie jestem większym realistą niż większość konserwatywnych myślicieli, jedyne wyjście stanowi kompromis. We Francji, w Belgii, w Niemczech, w Anglii jest obecnie tylu muzułmanów, że trzeba przestać marzyć o powrocie do naprawdę chrześcijańskiej Europy. To utopia.

Więc nie wierzy Pan w remigrację?

Nie. Jest ich zbyt wielu. To mogłoby być rozwiązanie, ale, jeżeli rzuci Pan okiem na Szwecję, albo gdy przespaceruje się Pan po Paryżu, to trzeba stwierdzić, że świat, w którym Francja mogła być monokulturowa, minął bezpowrotnie. Jest tylu muzułmanów, tylu obcokrajowców, że tylko drogą kompromisu będzie można wyjść z tego położenia. Ten kompromis będzie szalenie trudny do osiągnięcia. Uważam, że uda się go osiągnąć dopiero po okresie walk i po wielu ofiarach po obu stronach. Wierzę jednak w ten kompromis. Sądzę, że jedyny sposób, aby go narzucić, to ustanowić tradycję chrześcijańską jako *Leitkultur*, kulturę przewodnią. To pojęcie stworzone w Niemczech przez Bassama Tibiego, które mówi, że tradycja chrześcijańska jest czymś podstawowym i pierwotnym, ale kultury mniejszościowe mogą liczyć na szacunek i tolerancję, pod warunkiem, że zaadaptują się do tych ogólnych ram. To jest w moim przekonaniu dzisiaj spory problem, że żyjemy w świecie politycznej poprawności, gdzie nawet najmniejszy wyjątek od reguły sprawia, iż reguła zostaje sprowadzona do jednego z wielu równorzędnych poglądów. Dzisiaj, gdy 100 osób wyraża jakiś pogląd, a jedna osoba inny pogląd, to polityczna poprawność wymaga, aby uznać, że to oznacza, iż mamy do czynienia z dwiema równorzędnymi opiniami, podczas gdy jasno widać, że mamy tutaj większość i wyjątek. Nie chodzi o to, aby usunąć wyjątki, trzeba jednak zdefiniować je, jako to, czym są, czyli wyjątkami. Jest reguła i wyjątki, ale te wyjątki muszą dostosować się do reguły, do większości. To musi się wydarzyć i to na wielką skalę, większą, niż to do tej pory wyjaśniałem, aby zintegrować islam z Europą. Dokonamy tego nie poprzez laicyzację, lecz dzięki powrotowi do naszych historycznych korzeni.

Czyli wierzy Pan raczej w integrację niż w „rozbiór", o którym wspominał François Hollande?

Podział państwa… Widzi Pan, nie wierzę, że gdyby były dwa rodzaje prawa, dwa rodzaje społeczeństwa, to taki układ mógłby funkcjonować na dłuższą metę. Mógłby funkcjonować kilka lat, ale wcześniej czy później doszłoby do sytuacji zapalnej. Z jednej strony mamy opuszczoną, bardzo biedną populację imigrancką, której trudno wspiąć się po drabinie społecznej, bardzo podatną, trzeba to sobie powiedzieć, na przemoc, na agresję, populację bardzo agresywną i dumną. A po drugiej stronie mamy kulturę chrześcijańską, która koncentruje w swoich rękach większość zasobów ekonomicznych – a przynajmniej w rękach swoich elit – ale jednocześnie nie potrafi stawić żadnego oporu, jest całkowicie sparaliżowana przez polityczną poprawność. Myślę, że właśnie te nierówności przekreślają możliwość pokojowego współistnienia tych dwu grup. Rozbiór byłby zbyt asymetryczny. Cała ta sytuacja jest niebywale groźna, a stanie się jeszcze cięższa. Jedyna szansa dla Europy, aby zachować ciągłość historyczną, to powrót do tożsamości chrześcijańskiej, w którą łatwiej będzie włączyć muzułmanów niż w całość laicką. Może to brzmieć jak paradoks, lecz sądzę, że islam w większości swoich tendencji społecznych i obyczajowych pokrywa się w dużej mierze z chrześcijaństwem. Mam na myśli położenie nacisku na wiarę, na rodzinę, na honor i tak dalej, a więc są to idee o wiele bliższe chrześcijaństwu niż zlaicyzowany, uniwersalistyczny i hedonistyczny świat politycznej poprawności. Islamowi łatwiej przyjdzie szanować pozytywne ramy, które narzuci chrześcijaństwo, niż świat zlaicyzowany. Albo więc uda nam się na Zachodzie stworzyć taką całość, albo będzie po wszystkim.

Przypomina Pan sobie może takie zdanie Sartre'a, że „marksizm to nieprzekraczalny horyzont naszych czasów". Czy więc multikulturalizm to nieprzekraczalny horyzont dla naszych elit?

Tak, to możliwe. Multikulturalizm to dla wielu ludzi święta krowa. To panująca dzisiaj doktryna, panująca ideologia. Mam jednak wrażenie, że znaleźliśmy się w momencie, gdy to panowanie dobiega końca. Nasze elity ciągle się tego trzymają, tak samo jak media, ale z tym panowaniem jest trochę tak jak z ostatnimi latami komunizmu; w NRD czy Związku Sowieckim nadal świętowano sukcesy planów pięcioletnich, ale w głębi duszy już nikt w to nie wierzył, to było puste. Zdaje mi się, że i dzisiaj w zasadzie prawe nikt nie wierzy szczerze w wielokulturowość, prócz kilku dziennikarzy i polityków, a także tych, którzy chcą zgarnąć unijne dotacje. Większość społeczeństw rozczarowało się wielokulturowością i niedługo staną twarzą w twarz z wielką pustką ideologiczną, ujrzą, że wielokulturowość, przynajmniej ta oparta o fundament politycznej poprawności, zawiodła. Nacjonalizm, skrajny nacjonalizm również nie będzie się jawił jako odpowiedź na wyzwania XXI-wiecznej rzeczywistości. Trzeba będzie odnaleźć jakiś kompromis. Chciałbym jeszcze podkreślić różnicę między Europą Zachodnią a Środkową,

bo wszystko, o czym tu mówię, dotyczy Niemiec, Francji, Beneluksu, częściowo Włoch i Anglii, ale nie dotyczy w ten sam sposób państw Grupy Wyszehradzkiej. Te państwa skorzystały w cudzysłowie na hibernacji pod reżimem sowieckim, będąc za żelazną kurtyną uniknęły tego losu, który przypadł Zachodowi, zachowały względną homogeniczność kulturową, pozytywny stosunek wobec swojej historii, po pierwsze dlatego, że nie przechodziły nigdy fazy imperialnej, kolonialnej, nie mają na koncie ludobójstwa. Nadal są pozytywnie nastawione wobec swojego dziedzictwa. Te kraje stanowią ostatnie ślady tego, czym Europa mogłaby być, gdyby nie przyjęła multikulturalizmu, który stanowił reakcję na totalitaryzmy drugiej wojny światowej. Europa Środkowa znajduje się dzisiaj w dość dobrym położeniu i ma szansę, w ciągu najbliższych dekad, uniknąć tych straszliwych wydarzeń, jakie będą losem Zachodu. Polska, Węgry, w jakiejś mierze także inne kraje, szczęśliwie unikną tego losu.



David Engels.

W Pana ocenie przyglądamy się konaniu Europy czy raczej konaniu Oświecenia?

To dobre pytanie. Na pewno Europa jako tysiącletnia cywilizacja zbliża się do swojego końca. Nie rozsiewam tu apokaliptycznych wizji, Europa nie zginie w krwi i ogniu. Ciągle będą ludzie, którzy będą mówić językami europejskimi, ludzie, którzy będą czytać Platona i Św. Tomasza z Akwinu. W tym znaczeniu to nie będzie gwałtowna śmierć, ale jej cykl cywilizacyjny dociera powoli do swojego kresu, tak jak świat antyczny w pierwszym wieku naszej ery był świadkiem końca swojej twórczej epoki. Ten świat miał jeszcze swoje dobre dni, nie były one jednak, pod kątem kultury, zbyt interesujące. Były dobre rządy, ludzie żyli dobrze, ale brakowało tego rozpędu duchowego, który wyłoniłby nowe idee filozoficzne, polityczne czy moralne. Jestem przeświadczony, że tego już nigdy nie będzie, już nigdy nie nadejdzie nowy renesans albo nowy barok, co najwyżej uda nam się zachować przez kilka pokoleń to, co nam zostało. Tak, to koniec Oświecenia i jednocześnie: to nie koniec Oświecenia. W zeszłym tygodniu zorganizowałem konferencję w Berlinie, gdzie zarzucano mi, iż położyłem zbyt wielki nacisk na

dziedzictwo tradycyjne i europejskie w definicji Europy, a zbyt mały na dziedzictwo Oświecenia. To, co trzeba zaznaczyć, to fakt, że Oświecenie nie było epoką nadto odkrywczą, oryginalną. W XVIII wieku nie ma praktycznie żadnej myśli, która nie zostałaby już raz wyrażona w starożytności. To wszystko jest, że się tak wyrażę, odgrzewane. Zresztą utarło się mówić, że Oświecenie występowało przeciw chrześcijaństwu, a gdyby przyjrzeć się mu bliżej, chociażby na przykładzie Polski, to robili je księża i biskupi. Istniał cały nurt myśli oświeceniowej, który wypływał z Kościoła katolickiego, a w Niemczech nawet protestanckiego. Często również popełnia się błąd i miesza się myśl oświeceniową z procesem, który miałby ogarnąć cały glob, niosąc laicyzm, tolerancję i indywidualizm. To w moim odczuciu błąd podstawowy, bo, gdyby spojrzeć na chiński ateizm, jest to ateizm całkiem odmienny od europejskiego. Powiedziałbym, że nawet w swoich największych skrajnościach Oświecenie zachowuje swoje piętno europejskie, czyli chrześcijańskie, nawet w odrzuceniu religii, nie jakiejkolwiek religii, lecz jedynej, jaką zna, to znaczy chrześcijaństwa. Pozostajemy jakby w jednym systemie odniesienia, Oświecenie to coś, co wydarza się w obrębie Europy. Nie stanowi zjawiska uniwersalnego, lecz jest zjawiskiem typowo europejskim. I rzeczywiście jego oddziaływanie się kończy. Czemu? Ponieważ jego własne zasady przeobrażają się w absurd. To myśl, która chce równości między ludźmi, równości między płciami, wolności, braterstwa, państwa prawa i tak dalej. Widać dzisiaj, że to marzenie o równości między ludźmi doprowadziło do świata, gdzie panuje wielka polaryzacja, że dążenie do równości między płciami pociągnęło za sobą rozpad rodziny, spadek dzietności i dezorientację, co to znaczy być mężczyzną i kobietą. Wolność do korzystania ze swojej własności obróciła się w ekstremalny kapitalizm, a zamiar, aby zapewnić każdemu wolność religijną, stworzył społeczeństwa, które są bardziej fundamentalistyczne niż kiedykolwiek i musimy w Europie walczyć przeciw tym, którzy chcą narzucić kobietom burki i hidżaby. A więc jeżeli rozważymy, co w swoich ostatecznych konsekwencjach sprowadziło na nas Oświecenie, to musimy przyznać, że kompletne przeciwieństwo tego, co zapowiadało. Niektóre jego zasady obróciły się w absurd. Obawiam się, że przez te absurdy wszystko, co dało nam Oświecenie, utraci legitymizację, jak na przykład demokracja. Gdy ludzie myślą dzisiaj o demokracji, to nie mają na myśli wspaniałego ateńskiego ideału, tylko kojarzy się im ona z korupcją, z kartelem partii, ze stanem całkowitego paraliżu. I któregoś dnia mogą sobie po prostu powiedzieć, że skoro tym właśnie jest demokracja, to trzeba się jej pozbyć i opowiedzieć za silnym państwem, gwarantującym chociaż jakąś stabilność. Wartości Oświecenia, które są bardzo ważne, i które po części przyniosły coś dobrego, obróciły się w do absurd i, prędzej czy później, spowodują nawrót do koncepcji o wiele bardziej tradycyjnych.

A czy lewica, jeżeli chce przetrwać, musi Pana zdaniem stać się antyimigracyjna, jak na przykład Aufstehen?

Tak. To też dobre pytanie. Co do Aufstehen, to uczestniczę w takim forum, gdzie sympatycy i działacze tego ruchu dyskutują i widać, że są bardzo rozdarci między uniwersalizmem, który jest bliski lewicy, a przynajmniej większości lewicy, a realizmem, który dostrzega, że imigracja bez żadnych granic i miar oznacza zniszczenie państwa opiekuńczego. Wszędzie lewica przeżywa to rozdarcie. Lewica zanika, w jej miejsce pojawia się skrajna lewica. Mamy przykład francuski: Partia Socjalistyczna rozpadła się, podobnie w Niemczech, podobnie w Belgii, gdzie socjaliści też stracili bardzo wiele poparcia. Widzimy, że skrajna lewica na tym zyskuje, czy to komuniści, jak w Belgii, czy skrajna lewica pokroju Mélenchona, albo Die Linke w Niemczech, albo Zieloni, którzy przylgnęli do skrajnej lewicy. Jeżeli przypiszemy lewicy trochę cyniczny, makiaweliczny sposób myślenia, to po jej stronie występuje myślenie, że zwiększając natężenie konfliktów społecznych, poprzez ściąganie milionów imigrantów, dążąc albo i nie, do starć między różnymi grupami etnicznymi, stworzą sytuację niestabilności, która pozwoli im wypłynąć na wierzch, taką może mają nadzieję, dzięki nowej walce klas albo raczej ras, którą oni interpretują jako walkę klas. W jakimś stopniu tak mogą rachować. Masowa imigracja może rozbić państwo opiekuńcze i dać im szansę na jakieś nowe zwycięstwo. Teraz ważne jest pytanie, czy to rzeczywiście lewica, czy może jakieś nowe oblicze tego totalitaryzmu, który tutaj, w Europie Środkowej dobrze znano. Jedyna szansa dla Europy, aby przetrwać w tym okresie walk, który zbliża się wielkimi krokami, a „żółte kamizelki" stanowią jej pierwszy etap, to znalezienie kompromisu między lewicową polityką społeczną – która zmniejszyłaby obecne dysproporcje, która sprawiłaby, że kapitał nie może uciekać do rajów podatkowych – a pewnym europejskim patriotyzmem. A więc pewnego rodzaju socjalizm na skalę europejską, który będzie służył europejskiej tożsamości. Trzeba mieć nadzieję na takie połączenie. Wszystko zależy od tego, czy z tych dwudziestu lat walki, o których ciągle wspominam, wyjdą zwycięsko partie konserwatywne, europejskie, które będą, w pewnej mierze, realizować lewicową politykę społeczną, jak Prawo i Sprawiedliwość, które, w ostatecznym rozrachunku, stało się partią dość lewicową na poziomie polityki rodzinnej i redystrybucji, czy też będzie na odwrót i zatriumfują partie lewicowe jak choćby Aufstehen, które przyjmą ideologię bardziej patriotyczną i europejską. A więc pytanie jest takie: czy to socjaliści pójdą w stronę patriotyzmu kulturowego, czy może konserwatyści pójdą w stronę bardziej socjalistycznych poglądów gospodarczych. Tak czy inaczej, uważam, że Europie potrzeba stopienia w jedną całość lewicowej myśli ekonomicznej z prawicową, konserwatywną wizją kultury. Sądzę, że potrzeba 15, 20 lat, aby zaszło takie przeobrażenie.

Czy w Pana oczach to kraje Grupy Wyszehradzkiej prowadzą tę politykę w stylu Augusta, politykę rekonstrukcji?

Tak, w moim przekonaniu kraje wyszehradzkie to zaczyn tego, jak mogłaby wyglądać przyszła Europa. Te kraje usiłują pogodzić patriotyzm, który nie jest

wrogi wobec Europy, i lewicową politykę ekonomiczną. Państwa Grupy Wyszehradzkiej nie są jednak całkowicie odporne na zaburzenia, które będą miały miejsce w Europie Zachodniej. Zapaść w Niemczech wywołałaby wielkie niebezpieczeństwo dla Europy Środkowej. Bezpieczniej jednak żyć tutaj niż na Zachodzie, bo chociaż tutaj może nastąpić załamanie gospodarcze, tak jak wszędzie, lecz nie nastąpi tu załamanie społeczne, które będzie losem Europy Zachodniej. Prawdopodobny scenariusz zakłada, że Polska i kraje wyszehradzkie wyłonią się z tego kryzysu w o wiele lepszej kondycji gospodarczej niż to, co zostanie z Francji i Niemiec. Można mieć nadzieję, że ta współpraca czterech państw Grupy Wyszehradzkiej stanie się wzorem dla rekonstrukcji przyszłej Europy, a w każdym razie podstawą ideologiczną, o którą będzie mogła się oprzeć konstrukcja europejska. Wierzę w to i liczę na to. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że Grupa Wyszehradzka korzysta z dobrej konstelacji politycznej w tych państwach, to znaczy można sobie wyobrazić, że gdyby, na przykład w Polsce, doszło do zmiany partii rządzącej, to mogłoby to pociągnąć za sobą rozpad tego sojuszu wyszehradzkiego. Uważam, że dopóki Grupa Wyszehradzka nie stworzy silniejszych struktur, silnej egzekutywy, dopóki nie zbuduje silnych instytucji, dopóty pozostanie krucha. Mam nadzieję, że uda się jej stworzyć takie organy i wypracować strategię, pewną również kulturową logikę w swoim programie, bo bez tego pozostanie wydana na łaskę polityki wewnętrznej każdego z tych krajów, przez co będzie krucha. Nawet jednak ten zarys, jakim jest Grupa Wyszehradzka, stanowi promyk nadziei dla Europy Zachodniej. Znam wielu ludzi i to nie tylko intelektualistów, ale zwykłych ludzi, którzy gdy odwiedzają Polskę, albo gdy słyszą przemówienia polskich przywódców, to mówią sobie: oni idą w dobrym kierunku, żyją bezpiecznie, mają polityków, którzy widzą, w jak ciężkim położeniu znalazła się Europa. Jest tu niedoceniana siła przyciągania. Nie docenia się jej, szczególnie tutaj. Nie zdajecie sobie sprawy, jak wielki potencjał ma Grupa Wyszehradzka, aby stać się latarnią, a nawet schronieniem dla idei europejskiego patriotyzmu, które nie są dość upowszechniane. W internecie bardzo trudno znaleźć tłumaczone przemówienia przywódców politycznych z waszych krajów, prędzej Orbana, ale odszukać coś Kaczyńskiego – to niemożliwe. Nie ma żadnych nagrań z przetłumaczonymi przemówienia polityków PiS-u, nie ma nic. Praca komunikacyjna jest tu bardzo źle wykonywana. Uważam, że mnóstwo tu zmarnowanych szans, aby stworzyć pozytywny obraz, który pomógłby również odeprzeć oskarżenia, formułowane przez Unię Europejską, które są przecież wyjątkowo niesprawiedliwe.

Wróćmy do Rzymian. Czy mógłby Pan porównać nasze położenie moralne z położeniem moralnym Rzymian doby późnej rzeczpospolitej? Myślę tutaj o rozbuchanym indywidualizmie, o rozwodach, aborcji...

Kluczem jest tu rozpad tożsamości i indywidualizm. To są dwa wielkie czynniki, który spowodowały ten wielki kryzys obyczajowy i kryzys intelektualny u schyłku republiki rzymskiej. Tak jak pan powiedział, mamy do czynienia

z indywidualizmem, który prowadzi do społeczeństwa konsumpcyjnego, z materializmem, hedonizmem, które sprowadzają plagę rozwodów, na którą skarżą się starożytni pisarze. Te zjawiska sprowadzają niezwykłą jak na tamtą epokę zapaść demograficzną, pociągającą za sobą z kolei fałszywą tolerancję, której skutkiem będzie szybka multikulturalizacja wielkich miast zachodniego basenu Morza Śródziemnego, czego najlepszym przykładem jest Rzym. Mamy tam do czynienia również z kryzysem religijnym, Rzymianie przestają troszczyć się o instytucję religijne, świątynie popadają w ruinę, kapłanów jest coraz mniej i brakuje chętnych na te stanowiska, społeczeństwo przestaje wierzyć w bogów i zapomina nawet znaczenia poszczególnych praktyk.

Na co skarżył się Cyceron...

Dokładnie tak. Rzymianie zwracają się albo w stronę hedonizmu, albo w stronę różnych postaci ezoteryzmu i mistyki, albo też po prostu przechodzą na judaizm, który w tamtych czasach miał bardzo prozelickie nastawienie, albo, tak będzie w początkach imperium, ku chrześcijaństwu. To przywodzi na myśl współczesne zjawisko, zresztą coraz częstsze, konwersji na islam. Do tego kryzys tożsamości, który sprawia, że coraz rzadziej ludzie utożsamiają się ze swoją własną kulturą, tak że, aby przywołać Cycerona, same elity przestają widzieć w Rzymie ich własne miasto, czując się raczej jak obcy we własnym domu, tak bardzo byli oderwani od swoich dziejów, od swojej tradycji i kultury. To również jedna z przyczyn wojen domowych i konserwatywnej rekonstrukcji, którą przeprowadzi August, która nie będzie wyłącznie rekonstrukcją polityczną, lecz także rekonstrukcją moralną i kulturową.

Czy Europa może się zjednoczyć bez „federatora", żeby ująć to po francusku?

Nie, nie sądzę. Ma Pan na myśli jednostkę, tak?

Jednostkę, albo raczej państwo.

Myślę, że potrzeba i jednego i drugiego. Stawia mi się często pytanie, kogo widzę w roli nowego Augusta. Na pewno nie będzie nim ani van Rompuy ani Jean-Claude Juncker albo ktoś w tym rodzaju. To, o czym się zapomina, to takie zdanie z Hegla, że gdy konieczność tego wymaga, to odpowiedni człowiek się zjawia. August był słabo znany aż do 43 r. przed Chrystusem, gdy w wieku 17 lat przybywa do Rzymu, aby podjąć dziedzictwo Cezara. To, że nie wiemy jeszcze kto, albo która partia miałaby przeprowadzić konserwatywną rekonstrukcję Unii Europejskiej, nie przekreśla prognozy, że taka rekonstrukcja będzie miała miejsce. Z tej perspektywy można też spojrzeć na dojście do władzy Macrona. W przeciągu kilku miesięcy postać z drugiego rzędu, bez żadnej partii za plecami, staje się nagle prezydentem Francji i przywódcą większości parlamentarnej, stojąc na czele ugrupowania, które powstało kilka tygodni wcześniej. A więc to może stać się bardzo

gwałtownie, jeżeli zajdzie taka konieczność. Sądzę, że ludzie dzisiaj potrzebują postaci, z którą mogliby się utożsamiać. Już zbyt długo żyjemy w chaotycznych, anonimowych demokracjach. Społeczeństwa odczuwają potrzebę takiej ojcowskiej, opiekuńczej figury, z którą mogliby się utożsamić. To jednocześnie normalne, ale też otwiera drogę autorytaryzmowi. Wystarczy pomyśleć o sukcesie Jordana Petersona, którego miliony młodych ludzi uważa za swojego duchowego ojca. Widać tutaj wielką próżnię tożsamościową u tego pokolenia, które wychowało się bez ojców i nie myślę tu o fizycznym braku osoby ojca, lecz o braku ojcowskiego autorytetu. To zdarzy się w taki lub inny sposób. A wokół którego państwa to wszystko się wykrystalizuje? Spora część europejskich dziejów koncentruje się wokół Niemiec. Czy tego chcemy czy nie, Niemcy zawsze były tym krajem, który znajdował się w środku Europy. I chociaż przez wieki granice Niemiec były nieokreślone, płynne, to dzisiaj Niemcy stanowią napęd Europy, to jedyny kraj, który, gdyby go usunąć, to cała Europa by runęła. Oczywiście, nie wyobrażam sobie Europy bez Francji, czy bez Włoch, ale jeszcze trudniej wyobrazić ją sobie bez Niemiec. To najważniejsze ogniwo, ponieważ jego brak zawaliłby wszystko. Niemcy będą miały tu wielką rolę do odegrania. Nie mówię, że to dla mnie sympatyczne. Jestem Belgiem i, nawet jeżeli jestem dwujęzyczny, to nie ma we mnie żadnego niemieckiego patriotyzmu. Sądzę jednak, że Niemcy będą miały do odegrania ważną rolę, która jednym się spodoba, a innym nie bardzo. Zawsze było tak, że Niemcy były trochę do tyłu względem innych narodów. Dzisiaj jest tak, że myśl konserwatywna, realistyczna, pragmatyczna jest coraz bardziej obecna. We Francji to też się pojawia, we Włoszech jest Salvini, na wschodzie są państwa wyszehradzkie, w Austrii jest Kurz, Anglia oddala się od Unii, Dania również zmieniła nastawienie do imigracji, i jedyne państwo, które jeszcze tego nie zrozumiało, to Niemcy. Mam wrażenie, że gdy Niemcy wreszcie to pojmą, to wtedy zmieni się bardzo wiele. Może z tego wyniknąć nadzieja, może z tego wyniknąć niebezpieczeństwo, bo wiadomo z historii, co się dzieje, gdy Niemcy przeżywają takie przebudzenie. W każdym razie ta przyszła Europa nie powstanie w opozycji do Niemiec. Powstanie wtedy, gdy Niemcy zmienią swoje nastawienie. To się powoli dokonuje. SPD znika, CDU i CSU rozdziera postawa wobec Merkel, AfD poszukuje. Dostrzegam intensywną ewolucję ideologiczną, która idzie w niespodziewanych kierunkach. Myślę, że jeżeli Niemcy przestaną być oparciem dla politycznej poprawności, łatwiej będzie zbudować Europę bliższą własnej tradycji.

Zgodziłby się Pan z francuskim historykiem, René Grousset, że trwający piętnaście wieków dramat Europy bierze się stąd, iż zerwaliśmy między sobą Pax Romana?

Pax Romana był względny, nie wolno o tym zapominać. W III wieku dochodziło do walk między rywalizującymi cezarami. Dynastia konstantyńska doszła do władzy po wojnach domowych. Nie wolno też zapominać, że potem nastał,

w epoce średniowiecza, okres względnego pokoju zaprowadzony przez chrześcijaństwo. Jasne, były wojny, były potyczki, ale katolicyzm stworzył pewną zasadniczą jedność, które nie była rozbijana. Nigdy nie było między narodami wojen totalnych, wojen dążących do całkowitego wyniszczenia przeciwnika. Wszystko działo się w pewnych ramach, dzięki którym rozumiano, że wszyscy należą do jednego, chrześcijańskiego świata. A gdyby spojrzeć na rozgałęzienia różnych dynastii, to można zaryzykować stwierdzenie, że wojny średniowieczne były wojnami w rodzinie, a nie wojnami między narodami. Wraz z protestantyzmem historia Europy się zmienia, wchodzimy w „gorący" okres, w okres wielkich wojen, jak na przykład wojna trzydziestoletnia. Tak, model *Pax Romana* wraca do naszych wyobraźni, coraz więcej o tym się mówi, wspominając *Pax Europae*, nawet jeśli nie jest to pokój, nad którym czuwa siła Unii, lecz pokój oznaczający brak konfliktów między państwami. Twierdzi się często, że to Unia Europejska stanowiła gwarant pokoju trwającego w Europie przeszło pół wieku, podczas gdy ten pokój zapewniła nam zimna wojna. Odkąd rozpadł się Związek Sowiecki pokój europejski stał się bardzo względny. Wystarczy pomyśleć o wojnie w Jugosławii, w której Unia odegrała bardzo wątpliwą rolę, albo o kompletnej bezczynności Unii wobec tego, co dzieje się na Ukrainie. Można się zastanawiać, do czego właściwie Unia służy. Gdy widać też bezładne, niepoukładane kroki polityczne wobec pokawałkowania arabskich peryferii Europy, reakcję na to, co dzieje się w Syrii, w Tunezji, w Egipcie, w Libii, w Somalii albo w Iraku, to trzeba przyznać, że za tym pokojem europejskim nie stoi żadna siła, która by tego pokoju strzegła. Ten pokój wynikał raczej ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, z tego, że Europa nie musiała stawić czoła żadnemu wrogowi. Nowy pokój rzymski mógłby ewentualnie powstać za jakieś dwadzieścia lat w nowej, zrekonstruowanej Europie, ale musiałaby ona wyposażyć się we własną armię, aby tego pokoju pilnować.

Może Napoleon stanowi straconą okazję dla Europy? Straconą okazję, aby stać się olbrzymem, zanim nadeszła epoka olbrzymów?

Nie uważam, aby Napoleon miał kiedykolwiek rzeczywiście możliwość trwałego zjednoczenia Europy. Jego władza była zbytnio oparta o Francję, o nadmierne rozszerzenie granic francuskich. Byłaby to więc hegemonia jednego państwa nad innymi. Do tego jego polityka dynastyczna, polegająca na obsadzaniu tronów swoją rodziną była krótkowzroczna. Co więcej, jego ideologia nie była również zbyt przekonująca. Trzeba pamiętać, że baza ideologiczna cesarstwa napoleońskiego była ta sama, co rewolucyjnej Francji, a więc opierała się na zwycięstwie instytucji republikańskich nad instytucjami tradycyjnymi. No i problem państwa narodowego. Jak pogodzić ze sobą te dwie rzeczy? Jak Napoleon wyobrażał sobie zjednoczyć Europę opierając się o doktrynę, która zakładała, że państwo narodowe stanowi cel historii? Nie można pogodzić francuskiej hegemonii na kontynencie z ideą państwa narodowego. Ta sprzeczność musiała doprowadzić, prędzej czy później, do jego zguby. Jedyny sposób, aby zjednoczyć Europę, to powrócić

do chrześcijaństwa, które jednoczy wszystkie narody. To ta rozbita przez Reformację jedność religijna, rozbita z wielką mocą przez rewolucję francuską, ona łączyła państwa europejskie i zapewniała względną równowagę na kontynencie. W obliczu zagrożenia islamizacją trzeba tę więź odkryć na nowo, jeżeli nie chcemy zostać pochłonięci.

Wyczekujemy teraz więc na Augusta, czy raczej Belizariusza albo może Aecjusza?

To dobre pytanie: czy jesteśmy na etapie schyłku rzymskiej rzeczpospolitej, czy na etapie upadku Rzymu? Wielu historyków jest zdania, jak choćby ten, o którym przedtem rozmawialiśmy…

Michael de Jaeghere…

Tak, właśnie. Część widzi podobieństwa między naszymi czasami a późnym antykiem. Ja byłbym zarazem większym pesymistą i większym optymistą niż oni. Skłaniam się ku analogii ze schyłkiem Rzeczypospolitej rzymskiej, ponieważ występuje tam o wiele więcej podobieństw niż w przypadku porównania z końcem antyku. W późnej starożytności zagadnienie religii zostało rozwiązane: pogaństwo zniknęło, chrześcijaństwo się upowszechniło, nawet jeżeli Germanie byli arianami, to należeli do tego samego świata. Nasza sytuacja z islamem przypomina bardziej końcowy okres republiki, gdy w Rzymie pojawiały się religie ze Wschodu, na które przechodzili poganie. Islam odgrywa dzisiaj taką rolę, co judaizm i chrześcijaństwo przed upadkiem rzeczpospolitej rzymskiej. To jeden punkt. Drugi to transformacja polityczna. U schyłku cesarstwa kwestia polityczna dawno znalazła rozwiązanie: monarchię. Społeczeństwo było wtedy ustrukturowane monarchicznie. Zarówno dzisiaj, jak i w ostatnich chwilach rzymskiej republiki, przeżywamy okres przejściowy, transformacji reżimu, który zachowuje pozór obywatelskiego uczestnictwa – to demokracja albo republika – po drodze przechodząc przez fazę, gdy panuje technokracja i oligarchia, aby przejść w stronę państwa autorytarnego. Cała reszta też wskazuje raczej na porównanie ze schyłkiem rzeczpospolitej, jak chociażby załamanie demograficzne, którego nie ma w V wieku. Nie było tam takiej depopulacji, takiego problemu demograficznego związanego z indywidualizmem. Tak samo z globalizacją; w V wieku romanizacja była dawno zakończona, z kolei u kresu republiki było to zjawisko relatywnie nowe, tak jak dzisiaj unifikacja kulturowa stanowi nadal świeże zjawisko. Tak samo z utratą tożsamości i z innymi zjawiskami politycznymi. Z mojego punktu widzenia analogii trzeba szukać przede wszystkim ze schyłkiem rzeczpospolitej rzymskiej. I nie jest to koniecznie perspektywa optymistyczna, bo zakłada okres wojen domowych, zanim nastanie przejście do państwa augustowskiego. Wojny domowe były bardziej punktowe, zaś migracje rozciągają się na wieki, i chociaż długofalowo wiążą się z upadkiem cywilizacji, to przed nami rysuje się wizja wybuchu wojen domowych.

Wiele przedmieść jest w ciągłym stanie zapalnym, przed nami czas ogólnego chaosu. Jeśli miałbym wziąć w rachubę wszystkie czynniki, to wydaje mi się, że nasze położenie przypomina bardziej pierwszy wiek przed naszą erą niż piąty naszej ery.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Krzysztof Tyszka-Drozdowski, Warszawa, 18.02.2019

David Engels (ur. 1979) – belgijski profesor historii antycznej, specjalista w dziedzinie późnej rzeczpospolitej rzymskiej. Wykładał historię Rzymu na Wolnym Uniwersytecie Brukselskim. Pracuje w Instytucie Zachodnim. Autor dziesiątek artykułów naukowych, a także książki *Le Déclin*, w której kreśli analogie między obecnym stanem Unii Europejskiej a schyłkiem republiki rzymskiej. W tym roku ukazała się praca zbiorowa pod jego kierownictwem *Renovatio Europae* (która wyszła już po niemiecku, polski przekład pojawi się w sierpniu) owoc rozważań międzynarodowej grupy refleksyjnej złożonej między innymi z prof. Chantal Delsol, prof. Lánczigo czy prof. Krasnodębskiego. Także w tym roku ukaże się jego bardziej osobista książka *Que faire?*, opowiadająca o tym, jak przetrwać z godnością schyłek Europy.

Krzysztof Tyszka-Drozdowski (ur. 1991 w Warszawie) – interesuje się francuską literaturą, myślą polityczną piłsudczyków i weneckim malarstwem. Pracuje nad powieścią i przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą Charlesowi Maurrasowi. Autor zbioru esejów *Żuawi nicości* (2019).